III.

Lucyna Siemińska

Weekend z Rudą i inne opowiadania

Nadszedł dzień zawodów. Wszyscy mieszkańcy, niezależnie od wieku, tłumnie zgromadzili się na łące. Przynieśli ze sobą plastikowe krzesła, koce i koszyki ze smakołykami. Na górce pod lasem dumnie stał sędziowski stół, nakryty kwiecistym obrusem, a za nim pobłyskiwał w słońcu złocisty puchar dla zwycięzcy. Z głośników rozbrzmiewała muzyka. Zawodnicy ustawili się w zespołach, na starcie. Poprawiali ogony latawcom, sprawdzali linki, wygładzali listewki. Każdy chciał, aby to właśnie jego latawiec pofrunął jak najwyżej, najdłużej, aby był najpiękniejszy.

W naszym zespole, numer pięć, padło na mnie. To ja miałam poderwać latawiec do lotu. Prezentował się prześlicznie z czerwonymi makami na wdzięcznie wygiętych łodyżkach na środku i niedbale rozsypanymi stokrotkami na brzegach. Nerwowo ściskałam żyłkę, a emocje maskowałam uśmiechem. Marlenka trzymała nasze arcydzieło za listewki, ustawiając je do lotu. Irena tylko zaciskała kciuki, wznosząc oczy ku niebu. Nawet Tomasz mrużył oczy.

Wreszcie się zaczęło. Podeszłam kilka kroków do przodu. Czułam, jak żyłka napręża się. Przyspieszyłam. Biegłam, łagodnie ciągnąc za sobą latawiec, który wystartował bez przeszkód. Marlenka dogoniła mnie i biegła tuż obok.

- Dawaj, ciociu! Dawaj! Prędzej! Wyżej! – instruowała mnie. – Teraz! Podrywaj w górę! Podrywaj! Teraz!

Biegłam jak sprinter na zawodach. Niestety, moje lata dały znać o sobie. Potknęłam się o kamień, straciłam równowagę i upadłam na oba kolana, boleśnie je przy tym tłukąc.

„To koniec" – przemknęło mi przez głowę, a z oczu popłynęły łzy, już sama nie wiedziałam, czy z bólu, czy z żalu.

W tym momencie poczułam szarpnięcie. To Marlenka wyrwała mi żyłkę z ręki. Sprawnym ruchem poderwała latawiec do góry, ustawiła pod wiatr i wyrównała lot. Latawiec szybował wysoko w górze. Spokojnie, równo kołysał się na wietrze. Inne latawce szarpały się, spadały, niektóre w ogóle nie wystartowały, a nasz szybował jak prawdziwy orzeł. Marlenka, uczepiona po drugiej stronie żyłki, po prostu tańczyła między kępami traw, lekko i zwiewnie, przestępując z nogi na nogę, jakby to latawiec miał ją za chwilę unieść i porwać w przestworza. Coś niesamowitego!

- Widziałaś to? Widziałaś? – Irena pomogła mi się podnieść i podawała chustki, aby opatrzyć zdarte kolana. Chwilę później przybiegł Tomasz.

Skinęłam tylko głową, ciągnąc ich za sobą w kierunku miejsca wręczenia nagród i wycierając po drodze resztki krwi.

Pod górką zebrał się już całkiem spory tłum rozentuzjazmowanych ludzi. Każdy chciał zobaczyć moment wręczenia pucharu. Zwłaszcza, że w tym roku, co do zwycięzcy, nie było żadnych wątpliwości.

Przewodniczący komisji uniósł puchar do góry, a z głośników rozległ się jego głos:

- Tegoroczne zawody w puszczaniu latawców wygrywa jednogłośnie zespół numer pięć! Puchar w imieniu zespołu odbierze kapitan zespołu – Marlena Sitarek!

Marlenka wbiegła na górkę, skłoniła się w podziękowaniu, a następnie obiema rękami pochwyciła puchar i uniosła go nad głowę.